

Zbigniew Rynduch

Andrzeja Maksymiliana Fredry "Vir Consilii" jako podręcznik retoryki barokowej

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 64/3, 175-190

1973

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

możliwości istnienia czegoś takiego, jak rozumienie języka jako dyspozycji do mówienia, odwołuje się przy tym właśnie do idei wrodzonych. Otóż pisze Kartezjusz odpowiadając na zarzuty Hobbesa w sprawie idei wrodzonych:

gdy powiadamy, że jakaś idea jest nam wrodzona, nie rozumiemy przez to, że mamy ją stale przed oczami, w ten sposób bowiem w ogóle żadna nie byłaby wrodzona; lecz tylko (mamy na myśli), że w nas samych posiadamy zdolność wywołania jej²⁰.

Czymże innym są dyspozycje, jeśli nie zdolnością wywołania? I jeśli tak, to czy spór Chomsky’ego z Quine’em wynikałby stąd, że dla Chomsky’ego pojęcie dyspozycji jest nie do przyjęcia tylko dlatego, iż obecnie funkcjonuje w behawiorystycznej teorii języka?

Spór Chomsky’ego z Quine’em²¹ — w którym obaj nie szczędzą sobie druzgocących złośliwości — a także inne polemiki, o których wspominałem mimochodem, u nas uderzać muszą z jednego jeszcze względu. Oto — niezależnie od stanowiska, jakie byśmy zajęli — mamy do czynienia z autentyczną różnicą zdań na gruncie zasadniczych problemów filozofii, oto spór o podstawy filozoficznego myślenia o świecie. Spór, jakiego od lat próżno szukać w naszym fachowym czasopiśmiennictwie, sprawiającym takie wrażenie, jak gdyby u nas wszystko od dawna było dla wszystkich jasne lub.... całkowicie obojętne. Zaiste, nie wiadomo, która ze stron tej alternatywy jest gorsza.

Z kolei chciałbym poruszyć trzy kwestie związane nie tylko z materiałem historycznym książki Chomsky’ego, lecz i z przedstawioną tam filozofią języka.

Wspominałem, że wykładając przy okazji Gramatyki Port-Royal pojęcia struktury głębokiej i struktury powierzchniowej zdania Chomsky zdaje się nie dopowiadać pewnych spraw do końca. Niejasności te jawią się, gdy — jak sam autor — traktujemy owe pojęcia jako istotną część filozofii języka. Trzeba to podkreślić, albowiem gramatyka generatywna — o ile rozumiem — pozwala je ujmować również pozafilozoficznie, jako instrument techniczny. Nas jednak interesuje Chomsky’ego filozofia języka.

Otóż nie jest jasne, czy Chomsky rozumie strukturę głęboką zdania jako zjawisko językowe, czy jako coś mentalnego. Uwaga, iż w Gramatyce różnica między strukturą głęboką a powierzchnią jest odpowiednikiem różnicy między duchem a ciałem, zawisa w próżni (niezależnie

²⁰ Descartes, *Medytacje o pierwszej filozofii wraz z zarzutami uczonych mężów i odpowiedziami autora*. T. 1. Warszawa 1958, s. 229.

²¹ Quine odpowiadał Chomsky’emu dwukrotnie. Zob. W. V. Quine: *Replies to Chomsky*. „Synthese” 1968, December; *Methodological Reflection on Current Linguistic Theory*. Jw., 1970, October.

od prawdziwości domniemania). Powstaje pytanie: jeśli nawet zgodnie z założeniem Chomsky'ego gramatyka (tj. teoria języka) ma być częścią psychologii, to jaka miałaby być ta psychologia? W *Języku i umyśle* Chomsky odpowiada na to pytanie z całą konsekwencją. Twierdzi mianowicie, że „dualistyczna psychologia racjonalizmu” została zbyt wcześnie zarzucona²². Można się z Chomskym nie zgadzać — może nawet trudno jest się z nim zgodzić — lecz nie sposób mu odmówić konsekwencji.

Filozoficzne koncepcje Chomsky'ego mogą się w pierwszej chwili wydać szokujące. A jednak wolno sądzić, że — niezależnie od merytorycznego do nich stosunku — nie są one we współczesnej kulturze czymś tak bardzo niezwykłym. Nie jest wszak czymś niezwykłym przekonanie, że istnieć muszą nie odkryte jeszcze, niezmiennie cechy umysłu ludzkiego, których opisanie, jeśli nawet nie stanie się kamieniem filozoficznym, to w każdym razie jest zadaniem godnym najwyższych ambicji badacza i myśliciela. Wolno Lévi-Straussowi poszukiwać tych cech poprzez analizę mitów społeczeństw pierwotnych — wolno Chomsky'emu sądzić, że odnajdzie je w przyszłej teorii gramatyki powszechnej. Jeśli wierze takiej towarzyszą konkretne badania w tych czy innych dziedzinach kultury, to kultura może na tym tylko zyskać. Oduczeni od filozofii jako myślenia samodzielnego, myślenia na własne ryzyko, nie doceniamy często inspirującej siły pomysłów skądinąd może dziwacznych.

Ostatnią sprawą dotyczącą filozofii języka, którą chciałbym tu poruszyć, jest różnica między „kompetencją” i „wykonaniem” Chomsky'ego a „językiem” i „mową” de Saussure'a. Otóż wydaje się, że w kwestii tej nie sposób udzielić jednoznacznej odpowiedzi, a to z uwagi na jej wieloaspektowość. We wspomnianej polemice z Quine'em Chomsky pisze wręcz:

*It is crucial to distinguish langue from parole, competence from performance*²³.

Z drugiej strony — w *Language and Mind*, właśnie mówiąc o „*langue*” i „*parole*”, skłonny jest obciążyć de Saussure'a odpowiedzialnością za to, że lingwistyka taksonomiczna tak małą wagę przywiązywała do problemu składni²⁴. Nie są to tezy sprzeczne. Prawdopodobnie rzecz ma się tak, że rozpatrując — w świetle własnej teorii — jedne aspekty „*langue*” i „*parole*”, Chomsky wypowiada uwagi krytyczne, ujmując zaś przedmiot od innej strony, np. atakując generalnie empiryzm, skłonny jest uznać tożsamość „języka” i „mowy” oraz „kompetencji” i „wykonania”. Możliwe

²² Chomsky, *Language and Mind*, s. 7. Trzecia część książki zawiera wykład tego, co można nazwać lingwistyczną koncepcją psychologii.

²³ Chomsky, *Quine's Empirical Assumptions*, s. 65.

²⁴ Chomsky, *Language and Mind*, s. 17.

jest jednak inne jeszcze podejście do tej kwestii. Z interesującego nas tu punktu widzenia filozofii języka jako części światopoglądu — różnica będzie nader istotna. „Język” de Saussure’a — jeśli dobrze rozumiem — ma charakter reguł intersubiektywnych, wywierających coś w rodzaju społecznego przymusu w stosunku do człowieka używającego „mowy”. Intersubiektywność i przymus wywodziłyby się tu z Durkheimowskiej wizji świata, w której ramach ukształtowały się poglądy de Saussure’a. „Kompetencja” ma u Chomsky’ego charakter indywidualistyczny, rządzi ona „wykonaniem” nie na mocy społecznego charakteru tegoż „wykonania”, lecz dlatego, że wszystkie poszczególne egzemplarze gatunku wyposażone są w to samo „urządzenie do opanowywania języka”. Gdyby zatem liczba tych egzemplarzy na świecie wynosiła trzy, kompetencja nie ulegałaby z tego tytułu żadnej zmianie.

I wreszcie sprawa naprawdę ostatnia: czy z filozofii języka Chomsky’ego daje się wywieść jego filozofia społeczna, której dał wyraz w książce *Ameryka i jej nowi mandaryni*?

Rodzi się pokusa, by powiedzieć, że filozofia społeczna wyrażona w tej książce pasuje do człowieka, którego programowo nie interesuje empiria, tj. to, jak wygląda świat dany w doświadczeniu, lecz jedynie możliwe, dające się pomyśleć światy idealne. Byłbym jednak ze względów zasadniczych przeciwny takiemu wnioskowaniu. Rzecz w tym, iż w moim mniemaniu wywodliwość poglądów społecznych z ontologii czy gnozeologii jest nader wątpliwa. Przykładu dostarcza nam właśnie *Lingwistyka kartezjańska*. Jedynym pisarzem, o którego poglądach społecznych mówi się względnie obszernie w tej książce, którego poglądy w tej materii cytuje się w przypisach, jest Humboldt. Chomsky dobiera jego skrajnie anty-etatystyczne, zdecydowanie indywidualistyczne wypowiedzi, zaznaczając przy tym, że Humboldt był platonikiem. No — przecież gdyby kto Platonowi doniósł, że można wyznawać jego filozofię i być skrajnym antypaństwowcem, to zawyłby w Hadesie tak, że Cerber czmychnąłby z podwiniętym ze strachu ogonem.

Chciałbym przy okazji powiedzieć, że w jednej materii podzielam społeczne poglądy Chomsky’ego. Podoba mi się mianowicie jego niechęć do kondycjonowanego wychowania. Zgadzam się z nim, gdy pisze, że „*skilled behavior*” (tj. zręczność, poręczność, sprawność) nie jest ważnym celem wychowawczym. Trafiają mi do przekonania takie oto jego słowa:

To niewiele, co wiemy o ludzkiej inteligencji, podpowiada nam coś wręcz przeciwnego: że mianowicie przez zawężenie zakresu i uproszczenie materiału prezentowanego dociekliwemu umysłowi, przez *behavior* ograniczony do ustalonych wzorców metody te mogą zaszkodzić, mogą wypaczyć normalny rozwój twórczych uzdolnień²⁵.

²⁵ Chomsky, *Form and Meaning in Natural Language*, s. 67.

II. M A T E R I A Ł Y I N O T A T K I

Pamiętnik Literacki LXIII, 1972, z. 3

ROMAN POLLAK

[DWIE NOTATKI]

W listopadzie 1971 otrzymałem ostatnią przesyłkę redakcyjną od prof. Romana Pollaka, gorliwego współpracownika „Pamiętnika Literackiego” od 1916 roku. Zawierała ona dwie notatki materiałowe, publikowane tutaj pośmiertnie. Przesyła towarzyszył list, dotyczący również tych tekstów.

Zapomniane sienkiewiczianum — pisał Profesor — „wiąże się [...] z moją żywą pamięcią o Mawerze, o którym u nas wie się zbyt mało jako o znawcy naszej literatury. [...] Druga notatka odnosi się do *Goffreda*, którego losy tak mi leżą na sercu, podobnie jak cały Piotr Kochanowski. Kuję na ten temat wciąż coś nowego, bo dręczą mnie różne zagadki odnoszące się do tego wielkiego poety i jego przyjaciela.

Nie posyłam moich notatek w maszynopisie i proszę, aby Redakcja, a raczej Sekretariat sporządził maszynopisy [...]”.

Są to ostatnie autografy Profesora spoczywające w tekach redakcyjnych.

Pamięć o Nim — jako uczonym i człowieku — będzie żywa.

B. Z.

Z PRZEDROZBIOROWYCH DZIEJÓW „GOFFREDA”

Nie znalazły się dotąd żadne szczątki rękopiśmienne prac literackich Piotra Kochanowskiego, żadne rozdziały *Goffreda* czy pierwsze rzuty przekładu — ku niemałej udręce tych, co pragnęliby przyjrzeć się bliżej pracowni tłumacza. W ostatecznej redakcji przekładu i wydaniu go drukiem niepoślednia rola przypadła Janowi Tęczyńskiemu, przyjacielowi, współpracownikowi i żarliwemu opiekunowi poety, zwłaszcza pod koniec jego życia, kiedy uporczywa choroba do łóża go przykuła. Jakże żywo przypomina się tu stosunek Mickiewicza do śmiertelnie chorego Stefana Garczyńskiego!

Pierwodruk *Goffreda* urodził się pod szczęśliwą gwiazdą. Ukazał się jeszcze za życia tłumacza, pod szczególną opieką Tęczyńskiego, który — jak należy przypuszczać — czuwał też nad bardzo staranną korektą. Pierwodrukowi temu poświęcił cenny artykuł Jan Pirożyński, pt. „*Goffred abo Jeruzalem wyzwolona*” *przekładania Piotra Kochanowskiego. Z zagadek pierwodruku (1618)* („Biuletyn Biblioteki Jagiellońskiej” t. 20

(1970), s. 133—140). Z badań autora, opartych na rewizji 23 egzemplarzy pierwodruku, wynika, że ani jeden z nich nie jest zupełnie poprawny, że nie było poddruków ani wydań nielegalnych, że nakład tego wydania musiał być ogromny, wielotysięczny, zważywszy, że w XVI w. przeciętna wysokość nakładu wynosiła 500 egzemplarzy. Przy końcu edycji dołączono 21 omyłek druku, a prócz tego w kilku miejscach przeprowadzono poprawki przez naklejenie małych pasków papierowych. Według Pirożyńskiego „różnice tekstu [w pierwodruku] są wynikiem bardzo starannej korekty, przeprowadzonej nie raz, lecz kilka razy w miarę postępów tłoczenia” (s. 135—136).

Czuwał więc tłumacz z Tęczyńskim nad drukiem poematu, podobnie jak Ariosto nad każdym prawie arkuszem ostatniego za jego życia wydania *Orlanda*. Do takiego wniosku doszedł Santorre Debenedetti w przypisach do wzorowej edycji Ariostowego arcydzieła (Bari, Laterza 1928, t. 3, s. 426), ponieważ nie znalazł dwóch identycznych egzemplarzy wydania z 1532 roku.

Mimo wyjątkowo dużego nakładu pierwodruku *Goffreda* „praca za-cnego poety — jak podaje F. Cezary we wstępie do wydania 2 — prze-niedostatek egzemplarzów ginąć poczyniała”. Wydał więc w 1651 r. poemat po raz wtóry, a w 1687 po raz trzeci, jako *Historię obozową*. Nie znamy wysokości nakładów tych edycji. Odtąd aż do r. 1772 nie pojawia się ten utwór w nowej szacie. Lukę tę wypełniają odpisy. Z końca XVII w. pochodzi odpis przykrojony do wieku młodzieńczego w rękopisie Biblioteki Baworowskich, nr 758. Jego krótką charakterystykę podałem w *Księdze pamiątkowej Stanisława Dobrzyckiego* z r. 1928 („*Goffred ad usum Delphini*”). Z czasów saskich wywodzi się również nie zarejestrowany dotąd odpis odnaleziony niedawno przez Stefana Nieznanowskiego w bibliotece dominikanów krakowskich, dokąd dostał się jako dar Franciszka Potockiego z jego Biblioteki Peczerskiej. Jest to foliał oprawny w skórę i liczący 464 stron. Na odwrocie okładki nalepiona karteczka, a na niej w owalu wydrukowany napis: „Biblioteka Komendoriy Sitkowieckiej”. W środku owalu herb Pilawa i zawołanie Potockich: „*Scutum opponebat scutis*”. W odpisie brak przedmowy i wiersza dedykacyjnego. Odpis jest niezbyt staranny, sporo usterek, miejscami wiersze opuszczone, przestawione.

W miarę postępu studiów dzieje przedrozbiorowe *Goffreda* zapewne jeszcze się wzbogacą.

ZAPOMNIANE SIENKIEWICZIANUM

Narastające od pół wieku z górą bogactwo literatury zajmującej się Sienkiewiczem, rejestrowane pod entuzjastycznym patronatem Juliana Krzyżanowskiego, jest wymownym świadectwem promieniowania Sien-

kiewiczowej sztuki w kraju i daleko poza jego granicami. Zapewne z czasem przybędzie tu jeszcze sporo spostrzeżeń dotąd nie uwzględnionych i przygodnych, cennych wypowiedzi. Zbyt nikła znajomość polszczyzny w szerokim świecie nie pozwalała napawać się pięknem Sienkiewiczowej narracji w jego postaci przyrodzonej. Przekłady, zrazu zbyt skwapliwe, nie dość starannie kontrolowane, zniekształcały wartości utworów, nieraz opierały się nie na źródłach bezpośrednich, ale raczej na innych przekładach, z języka francuskiego lub rosyjskiego. Mimo to zdobył sobie Sienkiewicz wyjątkową w niektórych krajach europejskich popularność, którą starano się wyjaśnić na różne sposoby.

Wysoki kunszt narracji Sienkiewiczowej wzniosł się najwyżej w *Trylogii*, a zwłaszcza w jej części pierwszej, i od razu zachwycił ogół polskich czytelników. Ale cudzoziemcy dopatrzeć się tej wielkiej sztuki nie mogli poprzez blade, bezbarwne przekłady. Oddalała ich od tego dzieła także niedostateczna znajomość naszej historii i wciąż odnawiającej się tragedii naszych Kresów. I dlatego najwyższą miarą Sienkiewiczowej sztuki było dla Zachodu *Quo vadis*, bo bliższe, bo przystępniejsze — a nie *Ogniem i mieczem*.

Przez długi czas daremnie czekaliśmy na potwierdzenie przez odpowiednio przygotowanego cudzoziemca naszych własnych ocen, wynoszących tak wysoko to dzieło w dziejach naszej — a chyba nie tylko naszej — powieści. Taki cudzoziemiec znalazł się wreszcie — wśród Włochów. Był to świetny sławista i polonista, prof. Giovanni Maver (zmarły w 1970 roku). Niezwykłe i pouczające są drogi, którymi dotarł do uroków Sienkiewiczowej narracji.

Jako młody chłopiec pochłaniał najpierw *Trylogię* w przekładzie serbskim, a więc zrodzonym w atmosferze wciąż żywej wśród Serbów tradycji walk w obronie chrześcijaństwa i Europy. Potem, po wielu latach, szczęśliwe losy zawiodły tego sławistę do Słowackiego. Czytał go w oryginale, zagłębiał się we fragmenty *Króla-Ducha*, w oktawy *Beniowskiego*. Czy można sobie wyobrazić idealniejsze przygotowanie do lektury oryginału *Ogniem i mieczem* jak studium *Beniowskiego*?

A potem — w r. 1926 — przyjechał prof. Maver do Poznania w miesiącu sierpniu i tu rozczytywał się w studiach o Sienkiewiczu w bibliotece Seminarium Literatury Polskiej, a wieczorami zamykał się w hotelowym pokoju z *Trylogią* i czytał do zapamiętania, do białego świtu. Sam dziwił się temu, że od tej lektury wprost oderwać się nie może. Starał się rozumowo, naukowo ująć tajemnice tego nieprzezwykłego czaru. Rezultat jego rozważań na ten temat ukazał się wiosną 1927 w „Rivista di Letterature Slave” (t. 2, z. 1, s. 65—78), pt. *La „Trilogia” di Enrico Sienkiewicz. Impressioni e commenti*. Bez balastu uczoności, z romańską lekkością, jasnością i wrodzonym artyzmem słowa ujął tu autor uroki *Trylogii* i uzasadnił naukowo impresje własne.

Wkrótce po ukazaniu się tego szkicu omówiłem go bliżej w artykule ogłoszonym w „Kurierze Poznańskim” (1927, nr 242) oraz pokrótce w dziale *Poloników włoskich* w „Przeglądzie Współczesnym” (1928, nr 69). Ale te informacje nie znalazły echa należytego. Tylko Ryszard Skulski podał wzmiankę suchą w *Przeglądzie nowszej literatury krytycznej o Sienkiewiczu* („Pamiętnik Literacki” 1932, s. 546), a po wielu latach zbyt ogólnikowo wspomniał o tym szkicu Mieczysław Brahmer na konferencji poświęconej Sienkiewiczowi, w listopadzie 1966, nie podając bliższych szczegółów i wyrażając potrzebę polskiego przekładu tej włoskiej publikacji. Autor jej, obdarzony subtelną wrażliwością nie tylko na piękno literackie, ale także na muzyczną urodę słowa, zwracał uwagę na brzmienie wyrażań, na rytmiczne falowanie okresów — słowem, ogarniał urok Sienkiewiczowej powieści w pełni jej kraszy. Uwagi swoje zakończył krótką charakterystyką stylu *Trylogii*, oddając najwyższe pochwały jej części pierwszej jako „jednemu z najbardziej interesujących, a może i najpiękniejszych dzieł wieku XIX”.

KRYSTYNA PISARKOWA

ZENON KLEMENSIEWICZ (1891—1969)

MATERIAŁY I SZKICE DO PORTRETU

Jeszcze jest Zenon Klemensiewicz nazwiskiem postaci znanej każdemu poloniście. Uczony, językoznawca, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, nauczyciel nauczycieli, działacz społeczny. Osobowość, która zaważyła i waży na współczesnej humanistyce polskiej. Klasyk polonistyki współczesnej, wyrosły z gleby młodopolskiej.

Nie równieśnik Stanisława Pigonia, skoro między datami narodzin leży sześć lat, ale należący do tego samego pokolenia. W parze ustawia obu uczonych dwukrotnie Kazimierz Wyka, rekonstruktor osobowości Pigoniowskiej¹. Portrety Wyki opierają się na 36-letniej znajomości z portretowanym, na znajomości pism naukowych i autoportretów, które Pigoń, uczony polonista, pozostawił w postaci wyznań pamiętnikarskich. Pragnącemu chronić pamięć o tym pokoleniu i konstytuujących je indywidualnościach musiała się postać Klemensiewicza narzucić. Mimo istniejącej literatury, głównie pośmiertnej i zajmującej się naukową wagą dzieła Klemensiewicza, niewiele tu jednak znamy koniecznych do portretu materiałów.

Sam Uczony to indywidualność zamknięta i oszczędna, może nawet skąpa w ujmowaniu siebie. Nie zostawił sądów o sobie ani w pismach naukowych — jako językoznawca nie miał okazji i potrzeby mówić w nich o sobie poza tym, że dał świadectwo sprawności i pomysłowości intelektualnej — ani nie wydał pamiętnika. Mało tego. Niszczył w zasadzie korespondencję otrzymywaną, nie zostawił też śladów potrzeby rozwlekleszych wynurzeń listownych, choć pisywał i co dzień: z frontów pierwszej wojny światowej do matki. To, co się zachowało jako wyjątki od tej zasady, złożono wraz z innymi materiałami w Archiwum PAN w Krakowie. I wydaje się, że właśnie owe materiały rzucają takie światła i cienie, które może pozwalają oglądać niejedną nieznaną, a istotną cechę, pozę, grymas, gest człowieka, którego się nie domyślano.

¹ K. Wyka: *Stanisław Pigoń jako uczony*. „Pamiętnik Literacki” 1970, z. 1; *Stanisław Pigoń. Próba rekonstrukcji osobowości*. „Twórczość” 1970, nr 7/8.

Bo Klemens, jak go uczniowie nazywali, pracował nad rolą, którą ucieleśniał, przez wiele lat. U progu kariery nauczycielskiej postanowił wychowywać własnym przykładem. Talent aktorski, przekonanie do roli, wytrwałość sprawiły, że utożsamiono go z postacią, którą chciał być i dla większości był. Urodził się w r. 1891, w rok przed Wańkowiczem, w trzy lata po Zegadłowiczu, sześć po Parandowskim i Pigoń. Istnieją fakty każące te postaci traktować jako reprezentujące jedno pokolenie, podobną grupę osób bliskich doświadczeniem historycznym i zawodowym. Ale to sprawy późniejsze. Długość roku, wiosny, dnia jest względna. Inaczej liczy się różnica sześciu lat między chłopcami niż między członkami Akademii Nauk. Kiedy Pigoń miał lat dwadzieścia — Klemensiewicz był w wieku Teofila Grodzickiego z *Nieba w płomieniach*. Kuszące jest zestawienie Zenona Klemensiewicza z tą, o sześć lat młodszą od niego, postacią literacką. Teofil wyrósł w podobnej atmosferze, z podobnego środowiska. Oddajmy marksistowskiemu kryterium biograficznemu: pochodzenie społeczne — należyta uwagę.

Pochodzenie społeczne

Zenon był jedynym synem wyższego urzędnika. Urodził się w domu inteligencji galicyjskiej, niezbyt zamożnym, ale dostatecznie wyposażonym w dobra materialne, w perspektywy może większe niż podstawy ekonomiczne, horyzonty chyba szersze. Ojciec, Ignacy, studiował prawo: w Wiedniu, jak dowodzi dyplom uniwersytecki. Oprócz tego dyplomu przechowywano świadectwa szkolne, wraz ze świadectwem dojrzałości. Ich wartość dla nas streszcza się może do zaskoczenia, które wywołują noty. Bywało, że obyczaje oceniono na „odpowiednie”, łacinę, grekę, polski, niemiecki — czasem i „dostatecznie”. Na ogół brak dowodów prymusostwa. Jeden „celujący” stopień błyszczy na świadectwie maturalnym z r. 1878 — za śpiew! Twarda tektura — zdjęcie ojca: skupiona ciemnooka twarz. Zdjęcie matki, Kamili. Przesłanki do rekonstrukcji zespołu cech odziedziczonych, nabytych, wypracowanych.

Sądziło się zawsze, że jedną z ważnych, charakterystycznych cech Zenona Klemensiewicza był szacunek dla pracy. W dokumentach archiwalnych znajduję potwierdzenie i uzasadnienie. Jedyne dziecko, urodzone w dziesięć miesięcy po ślubie Ignacego i Kamili, z pewnością nie miało ciężkiego dzieciństwa, ale też nie opływał w przesadny dobrobyt. Ani ze szkoły nie wyszedł jako złoty młodzieniec, ani na studiach nie leniuchował jako zblazowany młody panek. Kiedyś odpowiednie władze nie wahały się przed wydaniem jego ojcu świadectwa ubóstwa zwalniającego od opłat na uniwersytecie. Był jednym z sześciorga dzieci. Teraz Zenon również zostanie na UJ zwolniony od opłat.

Ignacy miewał trudności zawodowe, mniej szczęścia niż ojciec Teofila

Grodzickiego przy wspinaczce po szczeblach administracyjnej kariery. Że znał kłopoty z otrzymaniem posady, widać z zachowanego pisma od mownego z r. 1909: „Posadę, o którą Pan ubiegałeś się, nadano innemu kompetentowi”. Na skutek kolejnych nominacji, tj. ówczesnych przydziałów pracy Ignacego, przenosi się rodzina: w r. 1901 z Rzeszowa do Tarnowa, w 1902 z Tarnowa do Nowego Sącza. Stamtąd do Krakowa. I tu umiera Ignacy 25 II 1917. Najwidoczniej są wtedy w niełatwych warunkach. Wojna! Przyczyną śmierci Ignacego jest choroba płuc, ściślej: zapalenie płuc i galopujące suchoty. Wynika to z listów syna. Zenon, wtedy oficer wojsk austriackich, w tydzień przed śmiercią ojca przekonuje i ponagla korespondencyjnie, aby chorego wysłano do Szwajcarii. Wierzy w ratunek. Z naiwnością i gorączkowym zapalem młodzieńczym dyktuje adresy lecznic prywatnych, m. in. w Davos. List, w którym 26-letni chłopiec, pełen rozpaczny ofiarowuje „swoje wszystkie zarobki, oszczędności i majątek”, narzuca wnioski o jego stosunku do ojca, o charakterze, ale i o sytuacji materialnej rodziny: ofiarowane zarobki to żołd lejtnanta. W oszczędności niełatwo uwierzyć. Wojna zastała go tuż po studiach — w przededniu rozpoczęcia pracy zawodowej. To, że nazwisko Klemensiewiczów występuje podobno w bardzo dawnych dokumentach, jest wprawdzie dowodem szlachectwa i źródłem niewinnej dumy — sam Zenon, jeszcze jako nauczyciel polonista, wynotował odpowiednią dokumentację² — ale pozostaje bez wpływu na sytuację materialną u schyłku XIX i początku XX wieku. Dóbr szlacheckich dawno tam już nie było. A że XIX-wieczna inteligencja pracująca Galicji nie piła ptasiego mleka, wie dziś, zgodnie z programem historii, każde dziecko szkolne.

Szkoła

Rodzice nie od razu posyłają Zenona po osiągnięciu odpowiedniego wieku do szkoły. Dwie pierwsze klasy kończy on jako „prywatysta”. Z następnych klas przechowuje się już świadectwa szkolne.

² Sz. Morawski, *Sądecczyzna. (Z mapkami i planami)*. Kraków 1863. Znajduję odpowiednie miejsca: „— Ja, Sulisław Janowicz, kanonik kościoła krakowskiego [...], zatwierdzam [...] stryjowi memu [...] sprzedaż wsi Szczyrzycem zwanej. [...] — Spisane więc nazwiska obecnych: książę Bolesław Leszkowicz z matką swą: panią Grzymisławą, Fulko arcybiskup gnieźnieński [...], Sułek Klemensiewicz, Klemens z bratem swym [...], mistrz Cedron kanclerz krakowski księcia Bolesława. — Działo się to roku pańskiego 1244 na wiecach w Chrobrzu [...]” (s. 113), i „Wobec tych świadków: pana Pakosława [...], Klementa Klemensiewicza [...] i innych wielu obecnych. — Działo się w Gieczu R. P. 1237” (s. 78). Informacja ta nie ma onomastycznej wartości naukowej. W *Kodeksie dyplomatycznym Polski* (wydał J. Bartoszewicz. T. 3. Warszawa 1855, s. 48 i 31), z którego Morawski najprawdopodobniej czerpał, czytamy: „Sulco filius Clementis” i „Clemente filio Clementis”. Morawski utworzył formy patronimiczne „Klemensiewicz”, ale nie było to jeszcze nazwisko. Brak zresztą

Doskonałe. Jedna z najwcześniejszych pamiątek dotyczących samego chłopca pochodzi z 1905 roku. Jest to pamiętnik *Wspomnienie z pobytu w Krościenku*. Z wycieczką szkolną wybrał się czternastolatek z Nowego Sącza konno („wózkiem”) i pieszo w Pieniny. Zwiedzają Czorsztyn, Niedzicę, Sromowce, Krościenko, Szczawnicę. Nie dowiemy się, czy to sam Zenon odczuwał potrzebę ukształtowania wrażeń, czy spełniał sumienne zadanie szkolne. Opisuje drogę, wspinaczkę, wnętrze zamku. Bez egzaltacji, rzeczowo i dokładnie. Po męsku, bez pozy, ale i nie bez własnych osądów. Jeżeli to nie zadanie domowe, zaskakuje dyscyplina ucznia. Nawet pismo staranne, choć dziecinne, lecz z charakterem, z którego można by się domyślić pisma profesora Klemensiewicza. Ten wczesny pamiętnik znajdzie swój odpowiednik w drugim i ostatnim, w krótkim opisie ostatniej dalszej podróży, do Szwajcarii w 1966 roku.

Chłopiec uczy się łaciny i greki. Pilnie i z ochotą, co się bardzo przydaje później na studiach. Czytamy w protokole z egzaminu magisterskiego w 1914 roku:

Kandydat tłumaczył i objaśniał ustęp z Ksenofonta, a następnie odpowiadał na różne pytania z zakresu literatury i gramatyki i starożytności. Odpowiedzi wypadły bardzo dobrze. Z historii starożytnej greckiej i rzymskiej zadano pytanie o wojny perskie, o losy Temistoklesa, Arystydesa, Pauzanisa, Militiadesa, Alkibiadesa, Koriolana, Mariusza, Luli, Hannibala itd. — wynik egzaminu bardzo dobry.

Tekst tego protokołu pozwala wyobraźni rekonstruować przebieg lekcji łaciny i greki w nowosądeckiej klasie Zenona. Tu znów narzuca się pamięć lekcji *Nieba w płomieniach*. Książka Parandowskiego sama się rozchyła na odpowiednie stronie:

rozmawiały ze sobą dwie dusze ponad owadnim zgłębkiem sali szkolnej, w trzasku słów greckich, które pękały jak łupiny orzechów, aby ukazać swój jędrny miąższ, wydobyty spod przyrostków, spójek, augmentów.

Te właśnie słowa stanowiły jedyny przedmiot jawnej rozmowy profesora z uczniem. Jakiś trudny homerycki zwrot, jakiś czasownik, niby poczwarka zaczajony w nieregularnej formie, jakiś zaulek składni — snuły się po całej klasie dręcząc i nudząc — póki Teofil nie zbudził ich do lotu. Zaufanie, z jakim Rojek powierzał mu zawilności, z którymi inni nie dawali sobie rady, ożywiło w nim pragnienie, aby go nigdy nie zawieść. To zmuszało do pilnej uwagi i znacznego nakładu pracy, w której znajdował upodobanie³.

Można przypuszczać, że między czternastym a szesnastym rokiem życia zapowiedź indywidualności młodego Klemensiewicza jest pod kilkoma istotnymi względami gotowa i widoczna. Nie zachowała się opinia o nim z tego okresu, ale wierzę, że gdyby to było możliwe, panowie profesoro-

dokumentacji dla niego w *Słowniku staropolskich nazw osobowych* (pod redakcją i ze wstępem W. Taszyckiego. T. 3. Wrocław 1971, z. 1).

³ J. Parandowski, *Niebo w płomieniach*. Wyd. 11. Warszawa 1970, s. 196.

wie gimnazjum nowosądeckiego pamiętający swego ucznia nie wahałoby się stwierdzić: Co do charakteru — chłopiec pracowity, ambitny, zdyscyplinowany i rozważny nad wiek. Co do zdolności i zamiłowań — obdarzony rozmaitymi talentami, a zwłaszcza takimi, których potrzeba filologowi, mówcy, aktorowi, nauczycielowi. Oprócz tych zalet spośród grona kolegów wyróżniały go cechy fizyczne: wzrost i uroda. Cechy nie wymieniane nigdy w opiniach, ale odgrywające swą istotną rolę w życiu i określonych zawodach.

Właśnie nauczycielstwo jest takim zawodem, w którym talenty Zenona Klemensiewicza znajdują zastosowanie. Mówił prof. Klemensiewicz na starość o sobie młodym, że kiedy inni chłopcy wklali się w skrajnościach zabaw w zbójców lub odprowadzali msze na niby — on sam z sobą przeprowadzał lekcje szkolne, wykladał wyimaginowanym uczniom, pytał ich, a jednocześnie odpowiadał, będąc na przemian to uczniem, to nauczycielem.

O pierwszym publicznym sukcesie krasomówczym wiemy z prasy. Wydawana w Nowym Sączu gazeta „Dzień” z 8 VII 1907 donosi w sprawozdaniu z wieczoru ku czci Adama Mickiewicza:

Następnie uczeń VII klasy Zenon Klemensiewicz wygłosił piękne, w treść bogate, pełne pietyzmu dla naszej poezji narodowej słowo wstępne, które wygłoszone z uczuciem i widoczną swadą, nagrodzono rzesistymi oklaskami.

Sucha notatka pozwala wyobraźni ujrzeć obraz, znów z *Nieba w płomieniach*:

Mówił o kulcie trzech wieszczów. Pośród banałów, za które nie był odpowiedzialny, gdyż brało się je po prostu z powietrza, z dziwnej ówczesnej atmosfery magnetycznej, rozkwitającej za lada podmuchem w białoczerwone zorze borealne — pośród zdań gotowych i uświęconych jak liturgia, bez których nie do pomyślenia były Zaduszki narodowe — trafiały się w jego wypracowaniu wyrazy osobiście odczute i tak własne, że aż niezgrabne. Zdobywał się na nie ów głód czci, pokłonu uwielbienia, który nękał Teofila, odkąd znalazł się on pod pustym niebem. Te wyrazy cieszyły go i podniecały, starał się je wyodrębnić szczególną intonacją [...].

Wzbudził podziw. [...] dojrzał łzy w oczach matki; wiceprezydent Rady Szkolnej Krajowej nachylił się do ojca i coś mu szepnął; ojciec skinął głową z uśmiechem⁴.

Egzamin dojrzałości złożył z odznaczeniem 26 VI 1909. Rok wcześniej otrzymał od ojca pamiątkową papierośnicę. Wygrawerowana data 28 VI 1908. Więc palił? Już wtedy? Więc ojciec tak mu pobłażał? Czy może był aż tak dumny z syna-mężczyzny? Mógł sobie pozwolić na pobłażliwość, ponieważ charakter syna i tak był gwarancją wzorowych postępów.

⁴ *Ibidem*, s. 261, 262.

Wybór zawodu. Uniwersytet i praktyka nauczycielska

Abiturient wstępuje na UJ. Nie ma go na pierwszych wykładach. Choruje na zapalenie płucnej. Lekarz domowy dr Leopold Jakobson pisze przedstawione jeszcze szkolnym zwyczajem zaświadczenie-usprawiedliwienie. Pamiątką po chorobie jest nie tylko tekst zaświadczenia. Zrosty w prawym płucu wykazują jeszcze ostatnie, przeprowadzone zimą 1969 badania lekarskie.

O ile w świadectwach szkolnych spotyka się wśród przewagi „piątek” dowody zmagania „trójek” z „czwórkami” — tutaj, na studiach, jak wynika z indeksu, protokołów egzaminów, zaświadczeń z ocenami egzaminacyjnymi — nie ma już wątpliwości, kto studiuje u profesorów Łosia, Chrzanowskiego, Mazanowskiego, Sternbacha. Stopnie są „celujące” i „bardzo dobre”. Absolwent interesuje się na razie przede wszystkim historią literatury polskiej. Równiutkie, choć już bez śladów infantylności, pismo ręczne wypełnia ponad 300 stron pracy magisterskiej o Józefie Korzeniowskim jako dramaturgu.

Magister Klemensiewicz postanawia być nauczycielem. Zanim jednak świeżo upieczony polonista dostaje uprawnienia nauczyciela, przechodzi przez praktykę. Jest to rok szkolny 1913/14. Z tego okresu praktykant przechowuje obowiązkowy dziennik z protokołami posiedzeń praktykantów, planami lekcji, refleksjami krytycznymi o lekcjach swoich. Warto przytoczyć kilka fragmentów.

Na jednej z lekcji, z końcem października, podczas lektury nowego ustępu, wywołuję do odpowiedzi ucznia M. Ten staje bezradny, po chwili, bez żadnego z mej strony zapytania i dochodzenia, uczeń B usadowiony za uczniem M — oświadcza mi, że M ma książkę otwartą w zupełnie innym miejscu i nie bierze udziału we wspólnej pracy. M — zwróciłem uwagę, oskarżenie B pominąłem milczeniem. Wątpliwość moja dotyczy tego, jak właściwie należało postąpić. Zdaniem moim uczeń B zbłądził, skoro nie pytany, nie wzywany oskarżył swego kolegę, stał się denuncjantem. Wiem, że to drobiazg, ale strzegąc się oczywiście daleko idących uogólnień, mógłbym zeń wysnuć mniej korzystny wniosek o jego charakterze. Czy należało ucznia B skarcić?

W gimnazjum niższym musi nauczyciel trzymać uczniów w karchach surowej karności i pilnie ich śledzić, ale nie w celu śledztw ani też w sposób szorstki gwałcić wrodzoną ruchliwość młodzieży [...], nie należy przemocą łamać, ale systematycznie naginać.

W gimnazjum wyższym — trzeba dbać o ład, spokój i karność, ale mając przed sobą ludzi z pretensjami dojrzałości, należy szanować poczucie osobistej godności [...], we wszystkich stosunkach okazywać zaufanie [...], nie tykać uczuć osobistych szyderstwami, [...] zuchwałe natury łamie częstokroć udana obojętność [...], należy być surowym, a nie srogim, wymagającym, ale nie przesadnym, bezstronnym, ale nie obojętnym, poważnym, ale nie pysznym, spokojnym, ale nie zimnym [...], trzeba pamiętać o kilku prawdach:

1. nauczyciel jest człowiekiem — często błędzącym [...],

3. uczeń powierzony nauczycielowi jest żywą istotą ludzką, [...]
5. młodzież jest bardzo wrażliwa,
6. dzieci, które kształcimy, są najdroższym skarbem swych rodziców [...]. Każda nagana, upominanie lub przestroga powinna być powiedziana przyzwoicie, rozumnie, sposobem spokojnym [...], wyrazów obelżywych, szorstkich unikać, bo ubliżają nauczycielowi, a rozgoryczają ucznia.
[...] W razie omyłki cofnąć swe słowa.
[...] oddziaływać na serca uczniów.

Solidne i serio są te refleksje początkującego — jak wszystko, czym się zajmuje. Chyba tak bez reszty poświęca się Klemensiewicz założonemu zadaniu zawsze. I pozostaje sobie wierny. W tej krańcowości, widocznej też do końca życia w zupełnym nieoszczędzaniu siebie samego, bywa aż lekkomyślny, tj. taki, za jakiego zwykło się uważać ucieleśnienie typowego Polaka.

Ale jednocześnie jest nietypowy: w akuratrości, obowiązkowości, w traktowaniu każdego powziętego i otrzymanego zadania z całą powagą, nawet jeśli to zadanie nie dorasta do swego wykonawcy. Również taki pozostaje do końca życia. Jest punktualny — bez względu na to, z kim się umówił. Ranga partnera nie odgrywa roli. Jest przygotowany według maksimum swoich możliwości, zaopatrzonego w konspekt, przykłady, ilustracje graficzne do lekcji, wykładu, seminarium — bez względu na to, czy uczestniczą w nim słuchacze setki, czy tylko dwie osoby. Nie uprawia improwizacji, nie stosuje błagi. Nie umie techniki wykrętu, choć ją zna i obserwuje. Amatorów i zawodowych specjalistów w tych trzech dziedzinach nie brak. Z wiekiem opanowuje obrzydzenie, które w nim wzbudzają, filozoficzną, maskowaną („ze względów dydaktycznych” — bardzo to u niego ważny motyw ocen i postępów) wyrozumiałością. Oba rodzaje reakcji upokarzają niepunktualnych, nieakuratnych, a upokorzona miłość własna broni się czasem ośmieszeniem upokarzającego.

Atakuje się koturnowość tego nauczyciela, bo zdarza się, że klasa, którą on stanowi, jest za duża na co dzień, jego postać za okazała do sali, w której („ze względów dydaktycznych”) godzi się wygłosić odczyt, jego głowa za posągowa, jego rozumienie zobowiązań za akuratne. Ma się wrażenie, obcując z nim, że to człowiek urodzony lub stworzony na to, aby świecił przykładem, a przy tym skromny, ale bez minoderii, bo mniej więcej znający swą wartość. Człowiek ascetyczny, lecz wymagający w dobieraniu przyjaźni i zazdrośny o nią. Nie rozluźniony, nie zwolniony od obowiązku własnej obowiązkowości. Przez to samotny i tragiczny. Zaslugujący na uwielbienie i potrzebujący go. Zaslugujący na najgłębszy szacunek i zaspokojenie ambicji, a przez to może z natury wykluczający współzycie przyjacielskie z partnerami o tym samym formacie. Ironiczny,

dowcipny i złośliwy, ale nie znany z tych cech. Ukrywał je przez takt w stosunku do innych, przez przekonanie o słuszności względów dydaktycznych — w stosunku do siebie. Bardzo męski, bez cech kobiecych lub, tak modnych dziś, hermafrodytycznych, lansowanych na fali tzw. mody *unisex*. Zbyt sprawiedliwy, aby mizogynizm mógł mu przysłonić obiektywne zalety umysłu jakiegoś ucznia rodzaju żeńskiego — ale... współczujący mężom mądrych żon. W tym jedynie może nieco archaiczny.

Wojna i wojsko

Z chwilą wybuchu pierwszej wojny światowej urywa się wszelka analogia między Teofilem Grodzickim a Zenonem Klemensiewiczem. Kiedy dogasa pożar nieba Parandowskiego, w płomieniach staje ziemia, Teofil Grodzicki ma lat siedemnaście. Klemensiewicz otrzymuje powołanie do wojska. Tym, co w wyobraźni Wyki łączy Pigonia z Klemensem, jest m. in. wspólnota doświadczeń wojennych:

Doświadczenie takie jest na pewno reprezentatywne dla uczonych polskich przynależnych do generacji Pigonia, którzy podobnie jak on w roku 1914 przybrali mundur i wiele lat spędzili na froncie lub w obozie jenieckim. Nieważne, że nie pozostawili oni po sobie świadectw napisanych. Mimo to przypuścić wolno, że podobny depozyt w sobie noszą lub nosili — Zenon Klemensiewicz, Jerzy Kuryłowicz, Roman Pollak, wymieniając tylko filologów⁵.

Przyznam, że wzrósłszy w cieniu legendy drugiej wojny światowej, długo nie czułam, mimo wczesnej lektury Remarque'a, przed pierwszą należytego respektu. Stosunek tak niesprawiedliwy do staruszki ma chyba każde z następnych, młodszych pokoleń. Legenda Stalingradu zdewalutowała legendę Verdun. A Remarque'a sprzed *Łuku Triumfalnego* młodzi czytają już chyba tylko wyjątkowo. Kiedy prof. Klemensiewicz mawiał, że od przebycia czterech wojennych lat w okopach, od czteroletniego ocierania się o śmierć⁶, od czteroletniego życia z nią i myślami o niej za pan brat, przestała dla niego być uosobieniem grozy — trudno mi było, mimo szacunku, jaki dla jego słów żywiłam, serio traktować to wyznanie. Podświadomie uważało się w moim pokoleniu, że wojna bez nalotów i bombardowań, bez obozów koncentracyjnych, bez SS, bez hitlerowskiej maszyny okupacyjnej, wojna z Hitlerem w roli bezimiennego kaprała była igraszką dodającą malowniczości życiorysom naszych dziadków, wujków i innych starszych panów. Przejrzenie odpowiednich materiałów po Kle-

⁵ Wyka, Stanisław Pigoń. *Próba rekonstrukcji osobowości*, s. 91.

⁶ Według encyklopedii *Der grosse Herder* (z r. 1935) — Austrowęgry z 9 000 000 zmobilizowanych straciły 911 000 zabitych, miały 850 000 ciężko rannych, 2 150 000 lżej rannych, 443 000 żołnierzy zagubionych lub w niewoli obcej.